

STANISŁAW
MICHALKIEWICZ

ŚCIEŻKA OBOK DROGI

część I



wydawnictwo
von borowiecky

ŚCIEŻKA OBOK DROGI

część I

**STANISŁAW
MICHALKIEWICZ**

**ŚCIEŻKA
OBOK DROGI**
część I

WYDAWNICTWO *von borosiecky*
Radzymin–Warszawa 2016

© Copyright by Stanisław Michalkiewicz

© Copyright for this edition by Wydawnictwo von borowiecky, Radzymin 2015

Projekt i wykonanie okładki: Wydawnictwo von borowiecky

Opracowanie redakcyjne i korekta: Marta Sieciechowicz

WYDAWNICTWO von borowiecky

05-250 Radzymin

ul. Korczaka 9E

tel./fax (0 22) 631 43 93

tel. 0 501 102 977

www.vb.com.pl

e-mail: ksiegarnia@vb.com.pl

ISBN 978-83-60748-83-1

Skład i łamanie: WYDAWNICTWO von borowiecky

Druk i oprawa: BOOKPRESS.EU, ul. Lubelska 37C, 10-408 Olsztyn

Od Autora

Tytuł książki nawiązuje do motta, jakim za Kazimierą Iłakowiczówną opatrzone były moje felietony w „Naszym Dzienniku”, z którym współpracowałem przez 8 lat, dopóki Redakcja wraz z końcem 2014 roku nie zakończyła współpracy ze wszystkimi dotychczasowymi felietonistami. Ale w książce przypomniane zostały felietony z lat 2006–2009 — od rozpoczęcia współpracy z „Naszym Dziennikiem”, do ratyfikacji traktatu lizbońskiego, o której wspominam w felietonie pod wymownym tytułem *Początek końca*. Lata 2006–2009 obejmują zatem okres piastowania zewnętrznych znamion władzy w Polsce przez Prawo i Sprawiedliwość, najpierw z premierem Kazimierzem Marcinkiewiczem, a później — z premierem Jarosławem Kaczyńskim, upadek jego rządu, wybory i pierwsze lata rządu premiera Donalda Tuska. Wydaje mi się, że warto właśnie teraz przypomnieć ten fragment najnowszej historii naszego nieszczęśliwego kraju, bo wiele wskazuje na to, że może się ona powtórzyć, jako że tylko dlatego Pan Bóg nie zesłał na ziemię drugiego potopu, bo przekonał się o bezskuteczności pierwszego. Żeby zatem lepiej wyeksponować ten okres, zamieściłem w książce również niektóre wcześniejsze publikacje z innych gazet, bo na ich tle lepiej widać zarówno kontynuację pewnych procesów, jak i modyfikacje wynikające zarówno z tak zwanych „mądrości etapu”, jak i z prób dokonania zmian — jak wiadomo — nieudanych. Zatem przeżyjmy to jeszcze raz, wspominając towarzyszące nam wtedy iluzje i gorycz, z jaką przychodziło się nam z nimi rozstać. Gorzki smak nie jest przyjemny, ale z drugiej strony wiadomo, że skuteczne lekarstwa zawsze są gorzkie. A skuteczne lekarstwo jest chyba potrzebne, również dla oczyszczenia narodowego organizmu z nar-

kotyków, jakimi Umiłowani Przywódcy faszerują Polaków — oczywiście „bez naszej wiedzy i zgody” — niemniej dość skutecznie. Mam nadzieję, że te felietony, które wydają mi się aktualne również dzisiaj, przyczynią się do podniesienia stanu naszej psychicznej higieny, ułatwią lepsze zrozumienie różnych politycznych procesów i zjawisk, a wreszcie — wzbudzą trochę wesołości. Bo również po to przedstawiam Państwu tę książkę.

Stanisław Michalkiewicz

Dobra nowina

23.12.2007 r.

Każdy postępowy człowiek doskonale wie, że życie w Średniowieczu było koszmarem. A cóż dopiero w Starożytności? Na szczęście starożytni nie wiedzieli, że żyją w Starożytności, podobnie jak mieszkańcy Średniowiecza, że żyją w Średniowieczu. Myśleli, podobnie jak i my, że ich sytuacja jest normalna i to pozwalało im jakoś przetrwać, podobnie jak i nam. Oczywiście nasza sytuacja jest bez porównania lepsza, bo — w odróżnieniu od starożytnych i średniowiecznych — zdajemy sobie sprawę, że żyjemy w najbardziej nowoczesnej i postępowej epoce, i na nic już specjalnie nie czekamy.

Co niesie przyszłość?

Starożytni to co innego. Jeśli nawet nie zdawali sobie sprawy ze starożytnego charakteru ich epoki, to instynktownie musieli czuć, że wszystko dopiero przed nimi. Można się tego domyślić choćby stąd, jak wielką wagę przywiązywano wtedy do przepowiedni. Tylko człowiek, który instynktownie czuje, że wszystko dopiero przed nim, pragnie dowiedzieć się, jakie właściwie jest to „wszystko” i na wszelkie sposoby próbuje przeдрzeć się przez zasłonę skrywającą przyszłość. Na domiar złego, nikomu wtedy nie śniło się nawet o Unii Europejskiej, więc nic nie wskazywało na to, że „wszyscy ludzie będą braćmi”. Przeciwnie — Rzym, który jeszcze w epoce hellenistycznej udawał przyjaciela królów judzkich i występował na międzynarodowej arenie jako ich adwokat, wkrótce odsłonił swoje prawdziwe oblicze i zajął Palestynę zbrojnie, surowo wybijając wszyst-

kim z głów jakiegokolwiek mrzonki o odzyskaniu suwerenności. O żadnym „braterstwie” nie było mowy. Nic więc dziwnego, że w tej rozpaczliwej sytuacji pojawiła się wśród Judejczyków narastająca tęsknota za kimś, kto ich z tego beznadziejnego położenia wydobędzie, umożliwiając powrót do godnego, szczęśliwego i bezpiecznego bytowania. Świadomość potęgi Rzymu podpowiadała, że musi to być ktoś korzystający z boskich auxiliów, bez których dokonanie tego wszystkiego wydawało się oczywistym niepodobieństwem. Że musi to być Boski Pomazaniec, człowiek Namaszczony Przez Boga, czyli w miejscowym języku — Mesjasz.

Jak rozpoznać Mesjasza?

Było oczywiste, że pojawienie się Mesjasza powinny poprzedzać jakieś zwiastuny. Sęk w tym, że nikt dokładnie nie wiedział — jakie, toteż Judejczycy pilnie studiowali księgi Starego, a właściwie wtedy jeszcze nie Starego, tylko po prostu Testamentu, w nadziei, że tam właśnie odnajdą wskazówki pozwalające odgadnąć czas pojawienia się Mesjasza, no i umożliwiające jego identyfikację. Rozpoznanie Mesjasza było sprawą niesłychanej wagi, bo od tego zależeć miała przyszłość całego narodu, a kto wie — może nawet i całego świata, bo przecież Judejczycy wierzyli, że są wybrani przez Boga, by nad światem panowali. No, może nie od razu, bo dajmy na to, w tej chwili Rzymianie mocno trzymali ich w garści, ale przecież... kiedyś... na pewno. Pojawienie się Mesjasza nadałoby tej nadziei znamiona pewności i dlatego bezbłędne rozpoznanie go było takie ważne. Ponieważ pierwszą rzeczą, jakiej powinien był dokonać Mesjasz, musiało być zmobilizowanie całego ludu, a następnie poprowadzenie go do zwycięskiej walki o zrzucenie rzymskiego jarzma, nietrudno było domyślić się, że oczekiwany Mąż musi odznaczać się cechami przywódczymi, a nawet wodzowskimi i to rozpoznawalnymi już na pierwszy rzut oka. Takiego oczekiwano.

Być prosiakiem u Heroda

Nadzieje te ożywiły się w okolicach roku, który dzisiaj nazywamy 40 przed Chrystusem, ale wtedy rachuba czasu była zupełnie inna. Wtedy pewien Idumejczyk imieniem Herod, zwany później Wielkim, otrzymał z rąk rzymskich triumwirów godność królewską. Herod, jako Idumejczyk, był zaledwie w połowie Judejczykiem, ale od roku, który dzisiaj nazywamy 37 przed Chrystusem, zaczął rządzić Judeą. Rządził okrutnie, toteż faryzeusze, którzy spośród Judejczyków nienawidzili go chyba najbardziej, również jako pół-Żyda, doszli do wniosku, że jego panowanie jest „biczem karzącym”, którym Najwyższy chłoscze swój lud, wywołując w ten sposób „bóle porodowe Mesjasza”. Nie zmieniło tego nastawienia nawet to, że Herod wielkim kosztem wybudował w Jerozolimie świątynię, podobno tak wspaniałą i piękną, że nawet faryzeusze powtarzali, iż kto jej nie widział, ten nie widział niczego pięknego. Ale bo też Herod był patologicznie podejrzliwy, podobnie jak później Józef Stalin, zwłaszcza pod koniec życia, kiedy poskazywał na śmierć nawet swoich synów. Cesarza Oktawiana Augusta, który te wyroki musiał zatwierdzać, tak to zbrzydziło, że powiedział, iż „w domu Heroda wołałyby być prosiakiem, niż synem”.

Rzymianie też czekają

Wprawdzie Rzymianie panowali podówczas, jak to się wtedy mówiło, „nad światem”, ale mimo tego nie byli ze swojej sytuacji zadowoleni. Wojskowe dyktatury, wojny domowe, towarzyszące im zniszczenia i zdzierstwa, zuchwałość żołnierstwa i brak osobistego bezpieczeństwa doskwierały im tym bardziej, że nie spodziewali się jakiegś zasadniczej odmiany losu nawet w zaświatach. Rzymianie bowiem, podbiwszy Grecję, przyjęli całą tamtejszą kulturę, łącznie z religią, nadając jej tylko charakterystyczny dla nich formalizm. A nawet w słonecznej Grecji wyobrażenie zaświatów nie było zachęcające. Oto, co zobaczył Odyseusz, kiedy posta-

nowi!ł zasięgnąć porady wieszczka Tejrzejjasza, który podówczas przebywał już w krainie zmarłych: „Dotarliśmy do kresu głębokich strumieni Okeanosa. Tam jest lud i gród Kimeryjczyków, okryty mgłą i chmurami. Nigdy tam nie docierają promienie świetlistego słońca, ani gdy się ono wznosi ku niebu gwiaździstemu, ani gdy z nieba znów zmierza ku ziemi, lecz noc zabójcza rozciąga się nad nieszczęsnym narodem”. Kiedy Odyseusz uczynił wszystkie przygotowania, tzn. wykopał dołek, do którego wylał obiatę dla wszystkich umarłych, których dusze na ten widok zaczęły wychodzić z Erebu, tłum dusz zbliżał się do dołu „z niesłychanym lamentem”, tak że Odys, choć nieustraszony, przecieź zdjęty lękiem, dobył miecza, by je odpędzać, póki nie przybędzie Tejrzejjasz. „Przyszła wreszcie dusza Tebańczyka Tejrzejjasza ze złotym berłem w dłoni, poznała mnie i przemówiła: — Czemuż to, nieszczęsny, porzuciłeś światło słońca i przychodzisz oglądać umarłych i ten kraj nieradosny?” „Kraj nieradosny”... Ano, nie da się ukryć. Zatem — znikąd nadziei, chyba, żeby...

Trwoźne nadzieje

W księgach sybillińskich, które Tarkwiniusz Stary otrzymał od Sybilli, i które przechowywane były w świątyni Jowisza na Kapitolu, zapisano, że Sybilla każdy wiek oddała w opiekę innemu bóstwu. Opiekunem ostatniego, żelaznego, a więc Niszczycielem, miał być Apollo. Niszczycielem — ale może zarazem i Odnowicielem, bo przecieź na miejscu zniszczonego świata powstanie nowy? Pewności nie było, aż do roku, który dzisiaj nazywamy 44 przed Chrystusem, kiedy to pojawił się znak. Oto po zabójstwie Juliusza Cezara, jego spadkobierca Oktawian urządził w jego intencji igrzyska ku czci Wenery Rodzicielki, patronki rodu julijskiego. Odbływały się one w ostatniej dekadzie lipca, który wtedy nosił już nazwę Iulius. Podczas tych igrzysk, na niebie pojawiła się kometa, wzbudzając zrazu powszechne przerażenie. Aliści przybyły na miejsce haruspik Wulkacjusz wytłumaczył ten znak całkiem inaczej. Oznacza ona koniec wieku dziewiętego i początek

dziesiątego. Według zaś przepowiedni sybillińskiej, w dziesiątym wieku od zburzenia Troi miał nastąpić albo koniec, albo przeciwnie odrodzenie Rzymu, a może nawet całego świata. Jednak warunkiem odrodzenia świata była zagłada świata dotychczasowego. Podobno po wypowiedzeniu tych słów Wulkacjusz za zdradzenie tajemnicy, padł jak rażony gromem.

Tak czy owak, sprawa się wyjaśniła, a w tej sytuacji również kometa nabierała całkiem innego znaczenia. W starożytności bowiem, podobnie zresztą jak i dzisiaj, ludzie wierzyli w tak zwane katasteryzmy, to znaczy w przemianę duszy człowieka w gwiazdę. Nikt zatem nie miał już wątpliwości, że w postaci komety objawiła się dusza Juliusza Cezara, by zwiastować Rzymowi nową nadzieję.

Najpierw jednak musiała nadejść zagłada świata dotychczasowego. I rzeczywiście. Jak w *Żywotach sławnych mężów* wspomina Plutarch: „Przez cały ów rok (po zabójstwie Cezara — SM) tarcza słoneczna była stale błada i bez błyszczącego blasku, a ciepło, które szło od niej, było mdłe i słabe. Nad ziemią unosiło się ciężkie i ponure powietrze, ponieważ przeszywające je promienie słoneczne nie miały dostatecznej siły, by je rozwidnić. Tak samo wszystkie plony i owoce pozostały na wpół dojrzałe, nie całkiem rozkwitły i nie dochodziły do pełni swego rozwoju z powodu tego zimna”. Rychło nastał głód, na dodatek wylał Tyber, a wreszcie pojawiła się zaraza. Brakowało tylko wojny.

Proroctwa poetów

Zastanawiając się nad przyczynami tych klęsk, zapoczątkowanych — w co nikt już nie wątpił — zabójstwem Cezara, niektórzy doszli do wniosku, że jest to kara za ciężący nad Rzymem grzech pierworodny. Jak wiadomo, Romulus, zaznaczywszy bruzdą granice swojego miasta, zagroził śmiercią każdemu, kto je przekroczy, i kiedy jego brat Remus dla żartu przeskoczył bruzdę, Romulus zabił go bez wahania. Zwolennikiem tego poglądu był m.in. poeta Horacy, który pisał:

„Tak jest; okrutny Rzymian prześladowe los
I straszny bratobójstwa grzech
Odkąd trysnęła Rema niewinnego krew,
Przekleństwa dla potomnych zdroj”.

Nie ulega wątpliwości, że takie straszne przekleństwo musi być zmaane, odkupione przez kogoś, kogo inny poeta, Wergiliusz, dostrzegł w młodym Oktawianie:

„Bogi ojcyste, ty, ojcie Kwirynie, ty Westo rodzico
Święta, co Tybru koryto i rzymski Palatyn ochraniaasz
Czasom przeklętym choć temu z pomocą przyjsć młodziawanowi
Nie przeszkadzajcie!”

Skoro tedy po zniszczeniu starego świata miało nastąpić odrodzenie, Wergiliusz pisał:

„Oto ostatni już czas przepowiedni kumańskiej nastąpił
Wieków olbrzymi ordynek z nowego się rodzi początku
Oto powraca Panna, powraca królestwo Saturna
(tzn. wiek złoty — dop. SM)
Oto i nowe stworzenie z wyżyny niebieskiej zstępuje
Dziecię się rodzi — i kres pokolenie otrzyma żelaza”.

— po czym zwraca się z inwokacją wprost do Dziecięcia:

„Drogi ty niebian potomku, Jowisza ty synu wszechmocny!
Patrz, jak się wszystko raduje na wieku przyszłego spotkanie!”

Ale czy aby na pewno tym „potomkiem niebian” jest Oktawian? Horacy też nie ma wątpliwości:

„Czy też, synu Mai łaskawej, wolisz
Swoją skrzydlatą kształt na młodzięńca postać
Zmienić i na ziemi pozostać wierny
Mściciel Cezara?”

„Syn Mai”, czyli Merkury, miał, według Horacego, wcielić się w „mściciela Cezara”, a więc tylko w Oktawiana.

Jak było naprawdę? Dzisiaj też pojawiają się rozmaici Synowie Niebian, Umiłowani Przywódcy, Chorążowie Pokoju, a w najlepszym razie — Nasze Duszeńki i tym podobne, też poeci niekiedy im prorokują, chociaż częściej rozwiadka załatwia takie rzeczy przy pomocy zwerbowanych dziennikarzy z prasy, radia, a zwłaszcza telewizji, ale może w starożytności było jednak trochę więcej autentyzmu? Może Wergiliusz i Horacy myśleli tak naprawdę? Oczekiwanie na Mesjasza było w tym czasie, jak się okazuje, powszechne, oczekiwali go nie tylko Judejczycy, ale i Rzymianie.

Wreszcie, co sądził o tym sam Oktawian? Trudno powiedzieć, ale nie można wykluczyć, że mógł podzielać opinie poetów, bo w roku, który dzisiaj nazywamy 27 przed Chrystusem, przyjął od Senatu tytuł Augusta, przyznany mu na wniosek Murnancjusza Planka. Augusta — a więc Wywyższonego, albo nawet Uświęconego, oczywiście przez bogów.

Tragedie pomyłek

Gwoli ścisłości trzeba dodać, że Oktawian nie był bynajmniej jedynym pretendentem do bycia Mesjaszem, z którym zarówno Judejczycy, jak i Rzymianie wiązali nadzieje na trwałe panowanie nad światem. Pośrednio potwierdza to Swetoniusz pisząc, jak to „w Welitrach niegdyś piorun strzaskał część muru. Wyrocznia wówczas orzekła, że obywatel tego miasta będzie kiedyś rządził światem. Dufni w tę przepowiednię mieszkańcy Welitrów rozpoczęli natychmiast zażartą wojnę z Rzymianami i później jeszcze uparcie ją wiedli prawie ku zupełnej zagładzie swego państwa. Dopiero zbyt późno okazało się na podstawie dowodów, że wróżba ta zapowiadała potęgę Augusta”. Podobne nieporozumienia zdarzały się i później. Oto Swetoniusz pisząc o Wespazjanie wspomina, że około roku, który dzisiaj nazywamy 67. po Chrystusie, „na całym Wschodzie rozniosła się dawna i uparta pogłoska, że ci, którzy w tym cza-

sie wyjdą z Judei, będą rządzić światem. Jak okazało się później, na podstawie dalszych wypadków, przepowiednia dotyczyła cesarza rzymskiego. Tymczasem Żydzi, odnosząc ją do siebie, podnieśli bunt, namiestnika swego zabili, legata konsularnego Syrii, przybywającego z pomocą, zmusili do odwrotu, zdobywszy na nim orła. Do stłumienia tego buntu (...) wybrano bez zastrzeżeń właśnie Wespazjana”. Skończyło się to, jak wiemy, zdobyciem Jerozolimy przez syna Wespazjana, Tytusa, który zburzył też zbudowaną przez Heroda Wielkiego świątynię jerozolimską, co po dziś dzień upamiętnia Łuk Tytusa w Rzymie. Zwróćmy jednak uwagę, że Swetoniusz pisze o „dawnej i upartej” pogłosce. Wygląda na to, że mogła ona narodzić się w czasach Oktawiana Augusta, Heroda i... Jezusa Chrystusa.

Z tego i nie z tego świata

Bo dzieje tych trzech osób wydają się ze sobą na wieki związane. Jezus nazywany był „Galilejczykiem” i już choćby z tego powodu Judejczycy mieli doń pewien dystans. Pochodził bowiem z Nazaretu, który prawdopodobnie nie cieszył się dobrą opinią w Jerozolimie, skoro podczas pewnej dysputy jeden z uczonych w Piśmie wtrąca *en passant* uwagę: „czy może być co dobrego z Nazaretu?”. Ale Jezus nie urodził się w Nazarecie, tylko w Betlejem, w Ziemi Judzkiej, gdzie według prorocत्व Starego, wtedy jeszcze nie Starego, tylko po prostu Testamentu, Mesjasz miał się narodzić, a stało się to za sprawą Oktawiana Augusta. On to bowiem właśnie wydał „dekret, aby spisano wszystek świat”. W następstwie tego dekretu, wszyscy ludzie w całym rzymskim imperium ruszyli do miejsc swego urodzenia, aby dać się tam zapisać. Oktawianowi z pewnością nie chodziło wcale o to, by wypełniły się pisma, być może w ogóle nie miał pojęcia o tych testamentowych prorocत्वach, ale przecież wydał swój dekret akurat wtedy, by w historii Zbawienia odegrać swoją rolę. Czyż nie zagadkowym zrządzeniem Opatrzności jego imię jest wspomiane, ilekroć wspominane jest Narodzenie Zbawiciela? Człowiek będący

„uznanym Mesjaszem świata antycznego” — jak pisze o Oktawianie Auguście Tadeusz Zieliński, został w osobliwy sposób związany z Prawdziwym Mesjaszem, o którym wtedy nikt chyba w ten sposób nie myślał, no — może poza pasterzami, Mędrkami ze Wschodu, no i Herodem, który w Jezusa chyba naprawdę uwierzył, tyle że po swojemu. Trudno nie zadumać się nad znaczeniem tych zbiegów okoliczności, kiedy czytamy lub słuchamy opisu w Nowym Testamencie jak to: „W one dni wyszedł dekret od cesarza Augusta, aby spisano wszystek świat”. Tym bardziej że do tych wszystkich zbiegów okoliczności trzeba dodać jeszcze jeden. Oto w roku, który dzisiaj nazywamy 13 po Chrystusie, po śmierci Lepidusa, Oktawian August przyjął jeszcze jeden tytuł — *Pontifex Maximus*. Tego właśnie tytułu używa po dziś dzień Namiestnik Chrystusa na Ziemi, Papież Świętego Kościoła Rzymskiego.

U progu „pierestrojki”

29.10.2006 r.

Zatrzymanie w Ameryce tajemniczego biznesmena Edwarda Mazura, podejrzanego w Polsce o zlecenie zabójstwa generała Marka Papały, może być sygnałem, iż w kołach kierowniczych Stanów Zjednoczonych dojrzeła myśl o potrzebie zrewidowania dotychczasowej polityki wobec Polski i innych środkowoeuropejskich państw NATO.

Dotychczas bowiem można było chwilami odnieść wrażenie, jakby Stany Zjednoczone nie traktowały Polski jak kraju zaprzyjaźnionego, a jak kraj podbity. Tylko bowiem w kraju podbitym toleruje się fasadową demokrację, za parawanem której całym państwem po staremu kręci agentura, tyle że przewerbowana. A przecież na takim założeniu opierał się kontrakt okrągłego stołu, będący rzeczywistą konstytucją III Rzeczypospolitej.

Efekty takiego stanu rzeczy dały się poznać po raz pierwszy w 1992 roku, podczas „nocnej zmiany” rządu premiera Olszewskiego, który podjął próbę ujawnienia agentury w strukturach państwa. Jak pamiętamy, próba ta została wyszydzona przez „niezależne” media jako objaw chorobliwej „nienawiści”. Co prawda, nie bardzo wiadomo przeciwko komu lub czemu ta „nienawiść” miała być skierowana, bo cały propagandowy wysiłek został skierowany nie na ujawnienie, ale ukrycie już nie tylko odpowiedzi, ale nawet samego pytania.

Mimo tych wysiłków, nie dało się ukryć prawdy i sejmowe komisje śledcze zaczęły ujawniać coraz więcej kompromitujących kulis naszej „młodej demokracji”. W rezultacie hasło budowy IV Rzeczypospolitej, a więc zwrócenia narodowi politycznej suwerenności, podstępnie zawłaszczanej przez powiązaną z gangsterami *razwiedkę*, zdominowało

ubiegłoroczną kampanię wyborczą i przyniosło, co prawda ograniczone, ale mimo wszystko zwycięstwo partii Jarosława Kaczyńskiego, który przekonał oczekującą tego część opinii, że chce i potrafi tego dokonać.

Być może teraz udało mu się przekonać również Amerykanów, że utrzymywanie ochronnego parasola nad tymi mafijnymi strukturami w Polsce nie przynosi im pożytku ani zaszczytu. Z tego punktu widzenia, zatrzymanie Edwarda Mazura, a zwłaszcza jego ewentualna ekstradycja do Polski, mogłoby oznaczać coś więcej niż tylko decyzję w sprawie konkretnego podejrzanego. Mogłyby oznaczać zmianę dotychczasowej amerykańskiej polityki wobec Polski na politykę uwzględniającą również aspiracje polskiego narodu do politycznej suwerenności we własnym państwie.

Chociaż *razwiedka* podczas ubiegłorocznej kampanii postawiła na Platformę Obywatelską, oddając do jej dyspozycji wszystkie swoje aktywa w postaci agentury wpływu, przychylności mediów i możliwości finansowych, i wspierała jej działania również po wyborach, partii Donalda Tuska nie udało się skutecznie zablokować ani rozwiązania Wojskowych Służb Informacyjnych, ani też procesu ujawniania zakulisowych mechanizmów naszej młodej demokracji. W tej sytuacji głos zabrał jeden z jej ojców chrzestnych, a zarazem — były(?) agent „wywiadu gospodarczego”, dr Andrzej Olechowski, publikując w „Gazecie Wyborczej” artykuł zakończony pointą, że jak tak dalej pójdzie, to trzeba będzie założyć „inną partię”.

Zalety „fizjologiczne i inne”

Opinia Andrzeja Olechowskiego ma swój ciężar gatunkowy nie tylko dlatego, że był on jednym z „trzech tenorów”, którzy Platformę Obywatelską zakładali, a *cuius est cognere, eius est tolerare* (kto ustanowił, ten może zniesić), ale również dlatego, że jest on również posiadaczem „zalet fizjologicznych i innych”, jak to po swojemu scharakteryzował kiedyś Lech Wałęsa.

Już mniejsza o te zalety „fizjologiczne”, dzięki którym dr Olechowski wśród postaci polskiego życia publicznego najbardziej przypomina

postać znaną z wiersza *Zima z wypisów szkolnych*: „Hej tam w Warszawie jest pan minister siwy i taki miły, przez okno rzuca spojrzenia bystre...” — i tak dalej, bo ważniejsze oczywiście są te „inne”. To dzięki nim dr Olechowski już co najmniej trzykrotnie oficjalnie zakładał „inne partie” na polskiej scenie politycznej. Raz był to Bezpartyjny Blok Wspierania Reform, innym razem — Ruch Stu, no a później właśnie Platforma Obywatelska.

Jak wspomniałem, Andrzej Olechowski figurował na „liście Macierewicza” z 1992 roku jako agent o pseudonimie „Must”, co sam wyjaśniał współpracą z „wywiadem gospodarczym”, cokolwiek by to miało być. Cokolwiek by to jednak było, to współpraca ta z całą pewnością wyszła Andrzejowi Olechowskiemu na dobre. Można powiedzieć, że sprawia on wrażenie człowieka urodzonego w czepku. W biznesie np. podobny jest do króla Midasa — czegokolwiek się dotknie, od razu w jego rękach przemienia mu się to w złoto. W ten sposób jedne „inne” zalety pociągają za sobą powstawanie następnych.

Andrzej Olechowski otoczony jest respektem również w międzynarodowych kręgach skupiających ludzi składających się z samych zalet. Do takich kręgów należy m.in. Komisja Trójstronna, prywatna organizacja założona przez Dawida Rockefellera, zrzeszająca osobistości z Ameryki, Europy i Japonii (stąd „trójstronna”), wśród których z Polski, obok Jerzego Baczyńskiego, Wandy Rapaczyńskiej, Marka Belki, Zbigniewa Wróbla, o. Macieja Zięby OP, jest właśnie Andrzej Olechowski, który, niezależnie od tego, należy również do Klubu Bilderberg, organizacji założonej w 1954 roku przez wybitnego masona i agenta brytyjskiego wywiadu Józefa Rettingera, której nazwa wywodzi się od hotelu Bilderberg w Oosterbeck w Holandii, gdzie odbyło się pierwsze jej posiedzenie.

Obydwie te organizacje formalnie są rodzajem prywatnych klubów, jednak ich ciężar gatunkowy w sprawach światowej polityki jest daleko większy niż większości rządów. Dopiero na tym tle możemy w pełni ocenić wagę przestrogi Andrzeja Olechowskiego, skierowanej pod adresem PO, że jak tak dalej pójdzie, to trzeba będzie założyć „inną partię”.

Najwyraźniej wyraża on również opinię grup, które jego osobie przydają takiego gatunkowego ciężaru, np. owego sławnego „wywiadu gospodarczego”, cokolwiek by to miało znaczyć, a być może również obydwu klubów, do których należy. Skłania nas to do zadumy nad stopniem autentyczności naszej „młodej demokracji”, podobnie jak nad stopniem autentyczności demokracji starszych od naszej.

„Pieriestrojka” z Wałęsą i Wachowskim?

Ewentualne spełnienie groźby Andrzeja Olechowskiego oznaczałoby przebudowę polskiej sceny politycznej. Czy zasadniczą i czy w ogóle udaną — to inna sprawa. Warto przypomnieć, że poprzednie inicjatywy Andrzeja Olechowskiego nigdy nie nabrały jakiegoś imponującego rozmachu, a niektóre okazały się kompletnym niewypałem. BBWR nie odegrał znaczącej roli na politycznej scenie, chociaż przy jego pomocy udało się przedłużyć polityczne kariery kilku posłom. Podobnie Ruch Stu.

Platforma Obywatelska wygląda na tym tle znacznie lepiej, ale tylko dlatego, że powstała głównie kosztem Unii Wolności, nie bez kozery uważanej przez wielu obserwatorów polskiej sceny za „partię zagranicy”. Okazało się jednak, że i możliwości Platformy są ograniczone, jeśli część opinii publicznej o nastawieniu patriotyczno–katolickim potrafi się zmobilizować. Zwracam na to uwagę również dlatego, by nie paraliżował nas lęk przed potęgą „światowych rządów”, za jakie uważają się i są przez wielu uważane zarówno Klub Bilderberg, jak i Komisja Trójstronna.

Nie można naturalnie lekceważyć ich wpływów, ale nie ma potrzeby też ich demonizować, zwłaszcza w stopniu odbierającym wszelką nadzieję. Strach przed lampartem jest jego siłą — powiadają znający się na rzeczy Murzyni i z tej mądrości trzeba też wyciągnąć stosowne wnioski. Ale zwracam na to uwagę również dlatego, że w takim razie „inna partia” może pójść w kierunku rozbicia tej części opinii publicznej, by w ten sposób zneutralizować jej polityczny ciężar gatunkowy.

O takiej właśnie możliwości świadczą pogroźki Lecha Wałęsy, że wróci na polityczną scenę w towarzystwie Mieczysława Wachowskiego. Może to z jednej strony świadczyć, że również *razwiedka* nie dysponuje zbyt długą ławką rezerwowych, skoro sięga po karty tak już kompletnie zgrane, ale z drugiej — że jest to wprawdzie próba trochę desperacka, jednak niepozabawiona szans powodzenia w sytuacji, jaka wytworzyła się w następstwie decyzji krakowskiej kurii o bezterminowym zakazie publicznego wypowiedzania się, nałożonym na ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego.

Przez bardzo dużą część opinii katolickiej w Polsce oraz podobnie, a może nawet jeszcze większą część opinii środowisk patriotycznych nieidentyfikujących się z katolicyzmem, decyzja ta została odebrana jako próba stordedowania lustracji. Gdyby te obawy okazały się trafne, szanse partii Wałęsy i Wachowskiego na zneutralizowanie politycznego ciężaru gatunkowego środowisk katolicko-niepodległościowych mogłyby okazać się całkiem spore, bo w tej sytuacji agenci w środowiskach kościelnych z całą pewnością zostaliby zmobilizowani metodą szantażu, na który niestety byłiby w tych warunkach szalenie podatni.

W rezultacie, nieoczekiwanego poparcia nowej inicjatywie politycznej udzieliłaby wpływowa, jak się okazało, część duchowieństwa, co mogłoby sprzyjać dezorientacji środowisk opowiadających się za reformą państwa, a jeśli nawet nie — to już na pewno zapoczątkowałoby erozję zaufania społeczeństwa do Kościoła.

Czy „historyczny kompromis”?

Być może jednak pogroźki Lecha Wałęsy o triumfalnym powrocie na polityczną scenę przy boku Mieczysława Wachowskiego są tylko kolejnym dowodem utraty kontaktu z rzeczywistością, a „inna partia” oznacza po prostu testowany właśnie polityczny eksperyment w postaci „Wspólnej Polski”, czyli bloku dawnych PZPR-owców z SLD, Socjaldemokracji Polskiej i Unii Pracy z Partią Demokratyczną Janusza Onyszkiewicza,

której trzonem jest „*lewica laicka*”, a więc dawni stalinowcy w pierwszym, a częściej w drugim lub nawet trzecim pokoleniu.

Być może *razwiedka* doszła do wniosku, że tylko poprzez odwołanie się do dawnej wspólnoty interesów i sentymentów można uratować przynajmniej część tak zwanych „zdobyczy” okrągłego stołu, to znaczy sekretnych mechanizmów sprawowania nad polskim narodem władzy, za parawanem fasadowych, demokratycznych procedur.

W tej sytuacji patronem „innej partii” i jej znakiem rozpoznawczym nie byłby Lech Wałęsa, tylko oczywiście Aleksander Kwaśniewski, który najwyraźniej żadnej spodziewanej posady międzynarodowej sobie nie załatwił, a kto wie, czy w ogóle nie stracił na to już nadziei. Jeśli zatem test podczas wyborów samorządowych wypadnie korzystnie, to nie jest wykluczone, że aktywa *razwiedki* zostaną przerzucone na blok „historycznego kompromisu” i taka alternatywa zostałaby nam podstawiona.

Zamiast „precz” — „niech żyje”?

Być może właśnie dlatego ze strony PiS obserwujemy ostatnio próby rzucania Platformie Obywatelskiej ratunkowej liny przez Kazimierza Marcinkiewicza i Kazimierza Ujazdowskiego. Platforma pozbawiona aktywów *razwiedki* i być może zreorganizowana w związku z tym personalnie byłaby dla PiS znacznie bardziej ustępliwym partnerem w rozmowach na temat ewentualnej koalicji, niż jest dzisiaj, a z punktu widzenia Jarosława Kaczyńskiego wygodniej jest mieć jakąś alternatywę wobec „jednego ciała” LPR-Samoobrona, niż nie mieć żadnej, jak obecnie.

Jest to oczywiście tym bardziej, że w sytuacji cofnięcia Platformie aktywów *razwiedki*, prawdopodobnie nie miałaby ona już żadnego powodu bronić układu okrągłego stołu, co dzisiaj wydaje się główną przyczyną wojny z PiS-em. Warto się nad tym zastanowić, by nie zaskoczyła nas i nie wprowadziła nam dysonansu poznawczego nagła zmiana okrzyków; zamiast dotychczasowego „precz!” — nowe „niech żyje!”.